

# Moja stocznia

BARBARA BOROWIAK

Od dwóch lat oprowadzam po Stoczni Gdańskiej (a raczej po tym co po niej zostało), turystów i mieszkańców Trójmiasta, śladami kobiet tam pracujących. Najczęściej latem, kiedy trwa sezon.

Od dwóch lat stoję w miejscach, gdzie kiedyś wznosiły się stołówki, hale produkcyjne, budynki administracji i mówię o tej pustce, która rozciąga się za moimi plecami. Wypełniam ją opowieścią: ludźmi, pracą, ich marzeniami i nadziejami. I tak przez półtorej godziny: stoję, mówię, a za moimi plecami zionie martwość. Czuję tę widmową Stocznnię, to wskrzeszone na chwilę życie i jego oddech na swoim karku, równie wyraźnie jak letnie słońce. To słońce towarzyszy mi i moim gościom nieustannie, a wraz z nim pył, bujna zieleni w pyle, Leniwka brudnoszara tym pyłem. Jego spłowiata szarość nas nie opuszcza. Mamy go na ubraniach, na skórze, w pocie, w płucach. Myślę wtedy o paniach izolatorkach z wydziału W-2, izolujących rury płótnem azbestowym i o śmiertelnym pyłe w ich płucach. Chyba świadomie tak obieram trasę, aby do Wydziału W-2 dochodzić po godzinie prawie. Żeby to zmęczenie słońcem i spacerem czuć było w mięśniach. Żeby mieszało się z opowieścią i było jej częścią – rekwizytem w przedstawieniu, w rytuale przyzywania zmarłych. To słoń-

ce jak ognisko, ten pył jak dym i jednostajny krok spaceru jak żałobna *choreira* z gestem płaczki: ręką zasłaniającą oczy przed słońcem – przy czole.

Beztraska turystycznej wycieczki zmienia się w kondukt żałobny prawie, próbujący uchwycić aparatem fotograficznym pozostałości świata, którego już nie ma. Świata w którym w latach świetności żyło i pracowało ponad 17 tysięcy osób.

Dziś po Stoczni zostały głównie zielonkawe żurawie widoczne na horyzoncie Gdańska (nie przepadam za nimi, są dla mnie symbolem męskiej dominacji na Stoczni), rachityczne suwnice z huszczącą się farbą, w kolorze chorobliwej żółci porzucone w połowie szyn rozpiętych między budynkami (te z kolei uwielbiam: ich taniec pełen powolnych uniesień i opadań...), metaliczne, zaśniedziałe konstrukcje sieci gazowo-elektrycznej łączące wydziały Stoczni, jak żyły łączą narządy. I najstarsze hale i budynki z cegły tak czerwonej że aż brunatnej: niechciane popraskie i poniemieckie dziedzictwo. I zapomniane pożydowskie, bo Żydzi i Żydówki jako robotnicy przymusowi z oddziału obozu Stuthoff budowali tu hale i łodzie podwodne dla Rzeszy.

Po Stoczni zostali też ludzie niegdys tu pracujący, z poczuciem zdradzenia, z nieprzepracowaną żalobą, z po-



wtarzaną nam w czasie wywiadów decyzją, że już nigdy na Stocznnię nie wejda, bo ich „dźwięki boją, jak widzą w co się zamieniła”. Ale o nich tu pisać nie będę. W grupie osób zbierających opowieści stoczniowe mamy zasadę, że oddajemy głos rozmówcom, więc nie chcę ich cierpienia w swoje metafory ubierać, ani go porównywać. Bo też tęsknię za Stocznnią, żałuję jej. Choć więcej w tym gniewu niż żalu.

Z gniewu wzięła się ta fantazja o duchach stoczniowych i dużo w niej projektowanego pragnienia zemsty. Lubię w niej myśleć o Stoczni jak o

żyjącym organizmie, który nie chce się poddać i odejść. Wtedy Stocznia nabiera horrorycznego wymiaru: pod warstwą gliny tętnią podziemne korytarze bunkrów, bujna zieleni czerpie z nich i jak w baśni o Śpiącej Królewnie oplata bluszczem i dzikim bżem szkielety hal i budynków. Oplata i podtrzymuje przed ostatecznym upadkiem. Lubię myśleć o Sercu Stoczni – wiecznie rozgrzanym piecu w kotłowni, o huku młotów przy pracy, które miarowo wybijają jej tętno. O tym, że jej krew nie pachnie żelazem, ale spawem i że w oczach ma błysk pal-

nika acetylowego. A gdy przekraczam rozdzierającą Stocznnię na pół Nową Wałową – uporządkowaną, usztywniającą jak gorset, z pasem ulicznym jak sznurującą ją białą tasiemką i cecinkami świateł, myślę o tym, że pod spodem moja Stocznia oddycha i tylko czeka, żeby się oswobodzić.

Więc oprowadzam po Stoczni, żeby ją oswobodzić. Żeby wybrzmiało to co miało zostać ukryte pod eleganckimi fasadami nowej dzielnicy, żeby rozmiękczyć to co zastygło w narodowy pomnik. Żeby przywołać tę potęgę, która teraz drzemie.

# Provehito in altum

MACIEJ PAWLAK

Filozofia jest „dziedzina przekonani”, a nie, jak nauka, „dziedzina wiedzy”. Religia byłaby więc podług tego klucza „dziedzina wiary”, przekonani tego szczególnego rodzaju, które, choć żywe i pełne mocy, wiedzą być nazywane nie mogą.

Pierwszym chrześcijanom – w czasach, gdy chrześcijaństwo dźwigało się dopiero na nogi i kiedy nikomu jeszcze nie przyszło do głowy, by czcić Jezusa z Nazaretu jako syna bożego i zbawiciela – bliższy był gnostyczny, ekstatyczny i euforyczny, model religii, niż zinstytucjonalizowany moloch opisany katechizmami, który dźwignął się na nogi zaraz po nim (i wspinał wysoko po jego trupie), a w którego wpisują się chrześcijanie nam współcześni. Gnoza, a więc *gnosis*, *γνώσις*, czyli ze starogreckiego „poznanie”, „wiedza”.

Wiedza tym się różni od wiary, że wiedzę można poprzeć dowodami. Jeśli obłożony księgami i obstawiony modelami szkieleatów naukowiec tłumaczy nam, stukając wskaźnikiem w zapisaną tablicę, przebieg ewolucji – udziela nam informacji popartej dowodami, nie zaś skłania do wiary w coś, na co dowodu nie posiada. Naukowiec jest nauczycielem, nie misjonarzem czy konkwestatorem, winien więc być mistrzem, a nie nadzorcą. Naukowiec, przynajmniej w założeniu, nie waha się zmienić poglądu w świetle nowych, przeczących dotychczasowej hipotezie dowodów. Wiara zaś tym się chlubi, że pozostaje niezmienna nawet w obliczu dowo-

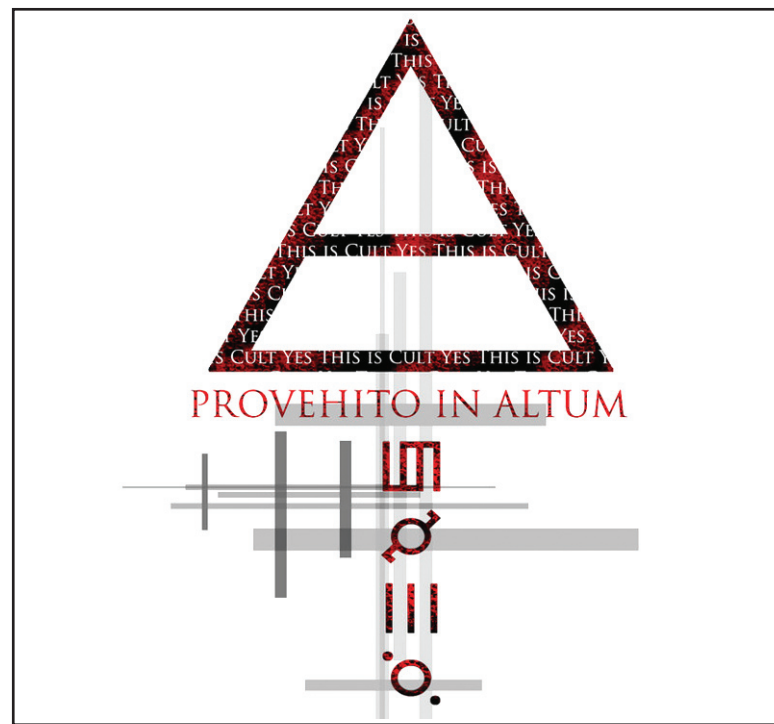
dów. Wiara osoby religijnej jest więc wierzeniem bez/pomimo/wbrew dowodom, kto bowiem od wiary odstępuje, ten popełnia grzech, a grzech, jak wiadomo, nie jest miły Bogu. Parafrazując słowa biblijnego, niekoniecznie historycznego, Jezusa: jeśli twoja głowa jest ci powodem do grzechu, odetnij ją i odrzuć od siebie, lepiej bowiem jest dla ciebie, gdy zginie jeden z twoich członków, niż żeby całe twoje ciało miało iść do piekła. Co się jednak stanie, jeśli piekła nie ma? Odpowiedź jest prosta: zostaniemy bez piekła, bez nieba i bez głowy.

Institucja religijna jest wrogiem religii, tak jak szkoła jest, niestety, wrogiem nauki. Instytucjonalność pozbawia obydwu pierwotnego, ludzkiego i szczerzego entuzjazmu, niszczy przyjemność, jaką powinno być zdobywanie wiedzy i wiary. Jednakowe przyprowadzanie wszystkich stłoczonych w przepelnionych klasach uczniów do przyswojenia tej samej partii materiału, nie bacząc na indywidualne preferencje i predyspozycje poszczególnych jednostek, a później zmuszanie tychże jednostek do wyemitowania „przyswojonych” informacji z powrotem, przypomina trochę opisaną przez Alberta Einsteina, jednego z najśłynniejszych naukowców XX wieku, sytuację, gdy ocenia się inteligencję wszystkich istot na ziemi wedle jednego tylko kryterium. *Jeśli osądzisz rybę na podstawie tego, jak wspina się na drzewa – mówi Einstein – przeżyje resztę życia w przekonaniu, że jest głupia.*

Starożytni greccy mistrzowie uczyli swych uczniów myśleć, otwierali przed nimi podwoje umysłu i pchali ich naprzód w przestrzeń ducha. Takich mistrzów nie ma już wielu, ale ten, kto na jakiegoś trafi, wyniesie z nauk nieporównanie więcej niż ten, kto tylko wkłuł w pamięć encyklopedię.

O przekonaniach religijnych Einsteina, napisano wiele nieprawdy, jednak te jedne jego słowa są z pewnością prawdziwe: *nie wierzę w osobowego Boga i nigdy temu nie przeczytałem, przeciwnie, mówiłem o tym wyraźnie. Jeśli jest we mnie coś religijnego, to bezgraniczny podziw dla budowy świata, którą nasza nauka może odsłonić.* Mamy więc oto naukowca, specjalistę od wiedzy, wyrażającego pogląd bliski gnostykowi, którzy nie tylko nie pojmują Boga jako osoby tak bardzo – za bardzo! – podobnej człowiekowi, ale wręcz odrzucają określenia takie jak „Bóg” czy „Szatan”, które mogą stanowić dla nich dwie strony tego samego medalu, i rzucają się naprzód w niezgłębianą przestrzeń ducha, bezkształtnego i pozbawionego formy, nieokreślonego i nienazywanego, czegoś, co można jedynie podziwiać i podglądać z daleka.

Einstein może więc jawić się jako pozytywista i romantyk jednocześnie, który gromadząc wiedzę i polegając na dowodach, potrafi zarazem doświadczyć czegoś, czego nauka nie jest w stanie poprzeć dowodami (albo „jeszcze” nie jest, ku czemu żywił nadzieję Nikola Tesla). Jako umysł ścis-



ły i humanista jednocześnie. Jako człowiek, który, jeśliby urodził się kilka tysięcy lat wcześniej, zostałby być może wzięty pod skrzydła przez któregoś z greckich mistrzów i sam zostałby w swoim czasie mistrzem, który otwierałby podwoje umysłu i pchał swoich uczniów naprzód w przestrzeń ducha. Jestem głęboko przekonany, że Albert Einstein, czy urodziłby się tysiące lat temu w Grecji, czy sto trzydzieści pięć lat temu w Ulm, i tak nauczałby, czy to na ulicach Aten czy w aulach Uniwersytetu w Zurychu, nie tylko wiedzy, ale i myśli, nie zabijał ciekawości, topiąc ją w morzu suchych faktów, a podsycał ją i nie mówił uczniowi, co ma widzieć, ale gdzie ma patrzeć.

Uważam za błąd i obłąd rezygnowanie z religii na rzecz nauki i z nauki na rzecz religii, tak jak błędem i obłądem jest zaniechanie myślenia na rzecz wiary i wiary na rzecz myślenia. Obie te rzeczy są dwoma stronami tego sa-

meo medalu i nie mogą istnieć samostatnie. Człowiek odrzucający czucie na rzecz myślenia i myślenie na rzecz czucia staje się człowiekiem upośledzonym w obu tych sferach; istotą, która nie uzyska nigdy pełnego obrazu rzeczy, choćby i tylko w tym wąskim spektrum, jakie jest dostępne człowiekowi za życia. Wierzyć i myśleć należy jednak umieć, a najlepiej uczyć się od mistrzów. Ślepa wiara i ślepa myśl wiedzie człowieka na manowce tak samo, jak złe wychowanie i złe towarzystwo. Człowiek, niezależnie od preferencji i predyspozycji, winien czerpać z obydwu tych źródeł i przede wszystkim uczyć się wrażliwości. Może nie z każdej przeczytanej książki wyciągnie wszystko, ale winien czytać je po swojemu, czytać uczciwie i przede wszystkim DLA SIEBIE, autotelicznie, ponieważ tylko to, co przeczyta, pomyśli i poczuje, zabierze ze sobą w dalszą drogę.